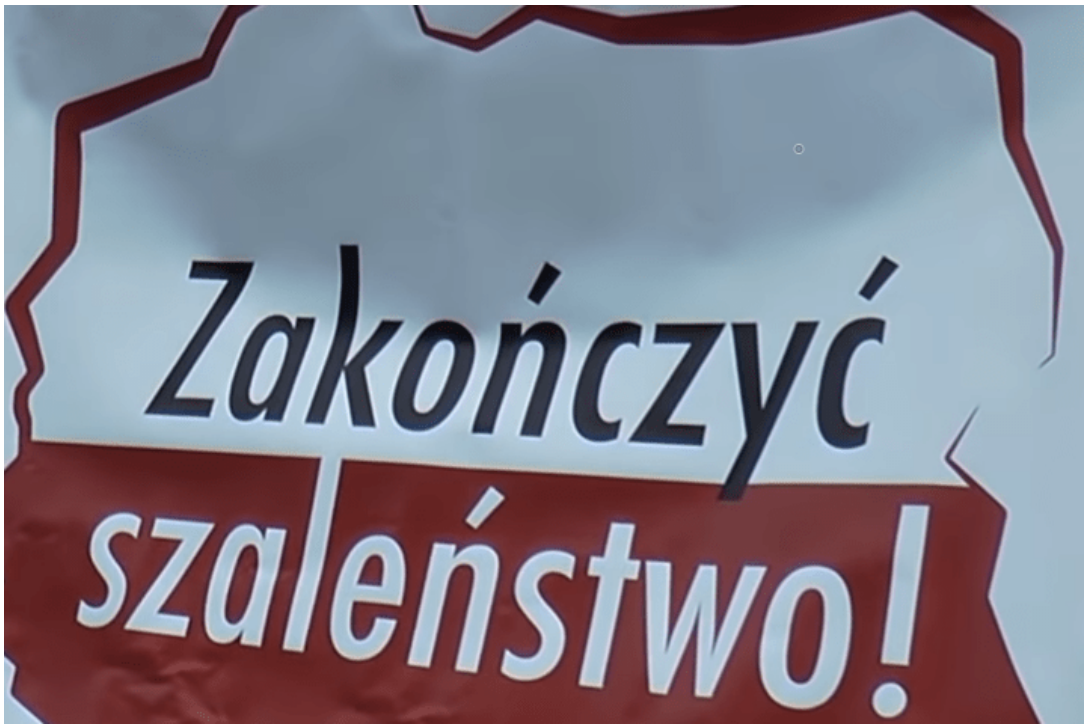
LOKALNIE · OPINIA

ZROZUMIEĆ KORONASCEPTYKA

Adam Balder · 13 października 2020



Pandemia koronawirusa staje się okazją do testowania możliwości instytucji państwowych, m.in. służby zdrowia. Jednak kryzys pandemiczny wydobywa na światło dzienne także szereg prawd o naszym społeczeństwie. Tych ponadczasowych, ale również świadczących o stanie obecnej populacji, elit społecznych i budowanych przez nas instytucji życia społecznego.

W ostatnią sobotę wyszli na ulice. W stolicy i kilkunastu miastach Polski manifestowali „dumni i wolni" Polacy. Bez kagańców, solidarnie wymieniając się uściskiem dłoni i innymi czułościami. Z ich ust popłynęły pełne erudycji przemowy, z iście renesansowym rozmachem w ciągu kilku minut podsumowujące „prawdę" (to słowo-klucz) o pandemii, na podstawie nauk medycznych (wszak każdy Polak na medycynie znać się musi), poprzez ekonomię, prawo, z naciskiem na konstytucyjne wolności, głównie ekonomiczne i obywatelskie, aż po wiedzę iście ezoteryczną na temat prawdziwych źródeł „pseudo-epidemii". Kiepsko się złożyło, że akurat tego dnia liczba stwierdzonych zakażeń wzrosła do rekordowej u nas liczby ponad 5 tysięcy i zaczęły obowiązywać liczne obostrzenia związane z pandemią. Tym gorzej dla faktów, jak mawiał wielki filozof, nawiasem mówiąc ofiara pandemii cholery.

Z racji tego, że koronawirus jest światowym tematem numer jeden i budzi coraz większe emocje, kolejne wystąpienie tzw. koronasceptyków spotka się z równie emocjonalną kontrreakcją. Już mniejsza o najczęściej niezbyt dotkliwe mandaty i możliwość zakażenia. W dzisiejszych czasach bardziej niż utraty zdrowia

i pieniędzy, boimy się utraty *nomen omen* twarzy. Stąd też przeciwnicy obostrzeń są najczęściej przedstawiani w debacie publicznej jako „paranoicy", wariaci wierzący w teorie spiskowe, nieuki niemyjące rąk, śmierdzące brudasy, a do tego słabo wykształceni, ze wsi i małych miejscowości. Nie zawsze jest to prawdą.

Takie stawianie sprawy przez obie strony utrudnia spokojne zrozumienie reakcji, która sporo mówi o współczesnym polskim społeczeństwie, ale też o jego szeroko rozumianych instytucjach.

Oswajanie lęków

Nie noszę kagańca, odważnie pyskuję ochroniarzowi w „Biedronce", z wyższością patrzę na sprzedawcę w „Żabce". Podobnie butne deklaracje można spotkać na forach internetowych przeciwników „psychopandemii". Ludzka i czasem zdrowa potrzeba buntu znalazła swoje ujście, a niska ściągalność, masowy sprzeciw oraz wątpliwa podstawa wystawianych mandatów dodatkowo rozzuchwaliła „bezkagańcowców". Sam byłem świadkiem jak w podmiejskiej kolejce ciasno zebrana grupa ludzi bez masek, karnie stała w kolejce po bilet u konduktora. Nieuchronność opłaty za przejazd bez biletu działa, w przeciwieństwie do puszczanych co kilka chwil z głośników pociągu komunikatów o obowiązku nakładania maseczek. Gdy pociąg doznaje opóźnienia, odważny w obliczu potencjalnej choroby i mandatu karnego koronasceptyk nerwowo wyciąga telefon i komunikuje przełożonemu „szef nie krzyczy, ja się spóźnię 5 minut". Dziwne to państwo (a obowiązujące w nim prawo kiepskie), w którym lęk przed krzywym spojrzeniem szefa czy konduktorem w mundurze jest większy niż przed obowiązkiem prawnym. Bo „nie ma podstawy prawnej", bo to „niekonstytucyjne". Lata propagandy KOD i TVN uczyniły z nas wszystkich co najmniej doktorów prawa i teoretyków państwa.

Po wtóre, gdy mówimy o chorobach, nader często popadamy w nieuzasadniony optymizm. Posiłkując się statystyką, genetyką lub „sprawiedliwością dziejową" (np. „ja nie mogę zachorować, bo mam małe dzieci") i nader często przeszacowujemy swoje szanse na uniknięcie nieszczęść. Nierzadko upatrujemy w chorobach kary bożej, która spada na złych, ale przecież nam się nie przytrafi. Przeciętny zagrożony tłumaczy też sobie, że „najgorsze za nami", pewnie wszystko będzie dobrze, a jak nawet się zarazi, to przejdzie bezboleśnie. Dość częstym przypadkiem jest też wmawianie sobie, że już przeszło się chorobę (furorę robi kojarzone kiedyś głównie z ZSRR słowo „bezobjawowo") , co *notabene* nie chroni przed powtórnym zarażeniem zmutowanym wirusem (to już się zdarza).

> Dla koronasceptyków epidemia jest spiskiem. Czyim i przeciwko komu, trudno orzec, ale co to za teoria spiskowa, na którą są dowody. Generalnie jednak, teorie spiskowe są naturalną ludzką potrzebą wiary w jakikolwiek porządek. Jak dzieje się coś nie do przewidzenia, to chcemy mieć wrażenie, że ktoś za tym stoi. Niechby źli ludzie, Bill Gates, reptilianie, służby, loże czy rząd światowy. Nie wspominając już o siłach nadprzyrodzonych.

Ale jest ktoś, kto panuje nad sytuacją i gdy zostanie zdemaskowany za jednym pstryknięciem palcami, nasz świat wróci do normy. To nas uspokaja, daje pewność i poczucie zrozumienia, tego co niepojęte. Wypadki też się zdarzają jedynie intencjonalnie. Czy to wypadek w Smoleńsku czy samobójstwa w bliskiej rodzinie. Wszystko miało swoje źródło i zewnętrzne przyczyny. Często dobrze i głęboko ukryte.

Ostatni człowiek

Epidemie towarzyszą ludzkości od jej początków. Same koronawirusy przeskoczyły na człowieka już w XIII wieku. Od zawsze też zarządzanie kryzysem epidemicznym generowało teorie spiskowe.

Tukidydes opisuje zarazę, która w jednym tylko roku wojny peloponeskiej (toczyła się w latach 431-404 p.n.e.) pochłonęła jedną czwartą ludności Aten. Najliczniej umierali lekarze. Lud szukał ukojenia i nadziei w modlitwach do bogów i zasięgał rad u wyroczni. Epidemia podobno zaczęła się w Etiopii, później ogarnęła Egipt, Libię i cześć Persji. Ludzie zapadali na nią nagle i równie szybko umierali. Do zwłok zmarłych na tę nieznaną chorobę nie zbliżały się nawet ptaki i inne zwierzęta. Choroba była tak zaraźliwa, iż samo zbliżenie do chorego kończyło się śmiercią. Gdy zaraza minęła ludzi, w swym odwiecznym jak widać optymizmie, mniemali, iż żadna inna choroba ich już nigdy nie dosięgnie.

Niestety, „zaledwie" 1700 lat później nawet połowa ludności ówczesnej Europy zmarła wskutek epidemii dżumy, która w 1348 roku dotarła ze wschodu do Włoch. Co charakterystyczne, znowu piszemy tylko z europocentrycznej perspektywy. Dane o epidemiach w innych częściach świata, są dla nas mniej zbadane i podchodzimy do nich z podobną ambiwalencją, co obecnie do ofiar zamachów na Bliskich Wschodzie. Europa późnego średniowiecza popadła w długoletni kryzys na skutek „czarnej śmierci". Później epidemie pojawiały się już dosyć regularnie.

Z chorób mniej zidentyfikowanych po latach, mieliśmy jeszcze epidemię „szkarłatnej gorączki" we Francji i potówki angielskiej w latach 1486-1551. Następnie pojawiły się znane nam i dzisiaj, a wówczas bardzo śmiertelne dyfteryt, tyfus brzuszny, koklusz, szkarlatyna, w końcu grypa, gruźlica, choroby weneryczne, w tym stara jak świat kiła (syfilis). Ówczesna medycyna była jednak wobec nich bezradna. Powróciła wówczas także dżuma.

> **W obliczu epidemii stosowano tak jak dzisiaj, kwarantanny, dezynfekcje, blokady dróg, izolacje czy świadectwa zdrowia. Jak zwykle w czasach niepewności i lęku w ludziach budziły się najniższe instynkty. We francuskiej dzisiaj Sabaudii ludzie zamożni miewali zwyczaj, aby przed powrotem do swoich domów po epidemii, umieszczać w nich wcześniej na okres próbny biedne kobiety, aby upewnić się czy niebezpieczeństwo minęło. Pewnego rodzaju ówczesne testy na obecność wirusa.**

Epidemie dziesiątkowały niejednokrotnie struktury społeczne. Zapaść demograficzna wieku XIII wzmogła reformy zachodniej gospodarki i jej przewagę komparatywną nad mniej dotkniętą epidemią Europą wschodnią. Masowe pomory podważały wiarę religijną lub przeciwnie, powodowały zwrot w kierunku duchowości.

Medycyna w XIX wieku wraz z rewolucją przemysłową poczyniła znaczny postęp, a higiena osobista się upowszechniła. Niemniej jednak epidemie nadal dotykały najbardziej uprzemysłowione kraje. Matka siedemnastoletniego Otto Bismarcka, gdy ten szedł na studia wybrała dla niego Uniwersytet w Getyndze. W 1832 roku bowiem, świeżo po epidemii cholery, panowało przekonanie, że rozprzestrzenia się ona w korytach wielkich rzek, przenoszona przez flisaków. Getynga zaś położona jest z dala od wielkich traktów rzecznych. Tymczasem cholera, początkowo pustosząca Azję, dotarła do Europy, w kilku falach.

m.in. w latach 1831-1838, a później w okresie głodu 1847-49, pochłonęła w niektórych krajach po kilkaset tysięcy istnień. Poza wzmiankowanym wcześniej Heglem, zmarł na nią choćby wybitny teoretyk wojskowości Clausewitz czy książę Konstanty I oraz ówczesny premier Francji Perier.

Z racji na fakt, że cholera początkowo występowała w tropikach, najpotężniejsze państwa ówczesnego świata nie były na nią przygotowane. Uchodziła bowiem za chorobę trzeciego świata. Nie dawano wiary temu, że bogaci też mogą umrzeć. Na Węgrzech wybuchło „powstanie cholerowe", wymierzone przeciwko obostrzeniom sanitarnym. Zresztą w XIX wieku mieliśmy też do czynienia z ruchem antyszczepionkowym i przewagą komparatywną obowiązkowo szczepionych już wówczas na ospę Niemców w wojnie z nieszczepionymi Francuzami. W ten sposób szczepionki i epidemie nie pierwszy raz wpłynęły na losy świata (zjednoczenie Niemiec i późniejsze tego skutki).

Cholera w stolicach europejskich wywołała panikę, prowadzącą do aktów agresji, wymierzonych – a jakże – w personel medyczny. Jak pisze Andrzej Chwalba w popularnym podręczniku akademickim „Historia powszechna. Wiek XIX", ludzie znęcali się nad lekarzami i pielęgniarzami, których obwiniali o śmierć niewinnych. W Hiszpanii agresja wyładowywana była na duchownych. Gdy z kolei epidemia dotarła za ocean, winą za nią obarczano zazwyczaj obcych, innych. Jak dzisiaj koronawirus w oczach wielu jest „chińskim wirusem", tak wówczas Francuzi w Kanadzie mówili o odpowiedzialności za cholerę „szkockiej hołoty", a protestanci w USA obarczali winą za epidemię irlandzkich katolików.

W świecie bez samolotów epidemie nie znały granic, choć łatwiej można było zarządzić miejscowe blokady. Niemniej jednak pomiędzy dwiema falami cholery, po raz ostatni do Europy zawitała dżuma (w latach 1845-1849). W Indiach w latach 1896-1918 zmarło na nią z kolei ponad 10 milionów ludzi. Gdy przygasała epidemia cholery, w Europie rozpoczęła się walka ze śmiertelną odmianą grypy. Nazwaną później „hiszpanką", bowiem tylko w tym neutralnym państwie pisano o niej otwarcie. W społeczeństwach zaangażowanych w działania wojenne nie chciano siać paniki. Znowu spisek rządzących. Tylko niestety, optymizm maluczkich był w tym wypadku tym bardziej nieuzasadniony. W efekcie na hiszpankę zachorowała nawet 1/3 ówczesnej populacji świata. Zmarło w jej wyniku nawet do 100 milionów.

Gdy kilkanaście lat temu wybuchła epidemia AIDS, reakcja społeczna w dobie raczkującego internetu była równie chaotyczna co dzisiaj. Mądrości ludowe przechodziły płynnie z jednej skrajności w drugą. Jedna z teorii sugerowała, że AIDS miała być chorobą homoseksualistów (sic!), z definicji niegroźną dla większości społeczeństwa. Zdecydowana większość przypisywała chorobie skrajną zaraźliwość (np. poprzez dotyk), a wszyscy optymistycznie patrzyli na badania nad szczepionką na AIDS. Żadna z ww. rzeczy nie okazała się prawdą. Badania nad szczepionką utknęły, a skrajne teorie okazały się błędne.

Choć wszystkie opisane wyżej historie i wydarzenia są powszechnie znane i dobrze opisane, współczesny człowiek chciałby tego nie pamiętać. Żyje ahistorycznie, niczym dziecko lub zwierzę, według znanego aforyzmu Friedricha Nietzschego. Wojny, choroby, kataklizmy chciałbym odesłać do dalekiej przeszłości i na karty zamierzchłej przeszłości. Dożywa właśnie statystycznie swych dni pokolenie ludzi urodzonych po II wojnie światowej, którzy to w swoim życiu zapewne wojny nie zobaczą z bliska. Wszyscy jednak żyjemy tu i teraz. Chcemy być wiecznie silni, zdrowi i młodzi, a do tego piękni, ból uśmierzać przyjemnościami, a choroby kontrolować. Nasz świat ma być dodatkowo pozbawiony granic przestrzennych i ograniczeń dla jednostki.

Wolność über alles

Właśnie wolność: zgromadzeń, gospodarcza, przepływu osób i kapitału gości często na ustach pandemicznych negacjonistów.W czasie swych spędów i w wirtualnej przestrzeni obwiniają epidemię o wywołanie kryzysu gospodarczego. Poniekąd mają rację. Może nie jest to na razie skala kryzysu ekonomicznego Europy po czarnej śmierci w XIV wieku, ale faktycznie Europa pogrążyła się w nieznanych od dawna tarapatach. Część branży, jak usługi, handel ucierpiała bardzo, a ludzie utracili miejsca pracy i źródło dochodu.

> **Niezrozumiałym jest jednak sposób myślenia, prowadzący do wniosku, iż brak jakichkolwiek obostrzeń poprawiłby sytuację, gdy prosty umysł i powtarzana przez lekarzy recepta brzmi dokładnie na odwrót; to właśnie przestrzeganie sanitarnego reżimu pozwala na brak zabójczego dla gospodarki lockdownu.**

Nie ma jednak powodu by winić koronasceptyków. Przez lata III RP, a na zachodzie już i wcześniej powtarzano im wszakże, iż co nie zabraniano, jest dozwolone, wolność oznacza dowolność, a zakazy są najgorszą rzeczą pod słońcem. Niestety, miały w tym udział również władze, przy czym nie tylko pierwsza i druga. Brak konsekwencji w nakładaniu pandemicznych obowiązków, nie pomógł w ich egzekwowaniu. Wadliwie uchwalane prawo i niski poziom legislacji dopełnił czarę goryczy. A wszystko to w czasach rządów o bezprecedensowym w ostatnich latach wysokim poparciu społecznym. Do tego dziwnie liberalne podejście sądów, przecież nie raz nakładających konsekwentne i dotkliwe kary za zgoła błahe przewinienia. Na wysokości zadania nie stanęła również czwarta władza, bowiem od dawna media głównego nurtu kretynieją w oczach i mieszają sensacyjne wątki z infotainment (information + entertainment), bo to sprzedaje się łatwo i lekko, a wypowiedzi ekspertów są spłycone do granic możliwości intelektualnych masowego odbiorcy.

Doszło nawet do tego, że Polak, tradycyjnie bardzo ufny wobec międzynarodowych i zachodnich ośrodków władzy (wprost przeciwnie niż względem krajowych), jak UE, NATO czy USA, maszeruje pod hasłem „WHO – samo zło". Niskie zaufanie do władzy sprawia, iż bardziej boimy się zbierania danych przez rządzących niż przez amerykańskie korporacje, którym z kolei ochoczo udostępniamy wszelkie dane na swój temat. Lęk przed gniewem pracodawcy nie pozwala nam na zwolnienie lekarskie, ale groźba zarażenia innych nie budzi naszych dylematów moralnych. W końcu od lat nam wmawiano, iż każdy ma dbać o siebie. Inni, szczególnie chorzy, słabsi i starsi się nie liczą. Gdzieniegdzie jakiś ksiądz przypomni, iż nienoszenie maseczki to grzech i brak szacunku dla bliźnich, ale od lat sprywatyzowana do sfery czysto osobistej wiara i religijność Polaków stała się jedynie troską o własną praktykę religijną, ewentualnie rodzinę, ale już nie o innych, obcych.

Demokratyzacja wiedzy

Nie liczymy się ani z księżmi ani z mądrzejszymi (w danej sprawie) od nas. Wszak nie ma już hierarchii i każdy zna lub może się poznać niemal na wszystkim. Nic dziwnego, skoro wmówiono nam koniec barier w dostępie do wiedzy, a wyższe wykształcenie i znajomość angielskiego pozwala znaleźć odpowiedź na dowolne pytanie w kilka sekund (dłużej współczesny człowiek nie wytrzymuje w skupieniu).

Adolf Hitler słynął m.in. z zamiłowania do książek. Posiadający w bibliotece kilka tysięcy wolumenów

książek, czytał podobno jedną dziennie, a raczej w nocy, bo należał do nocnych marków. Liczni biografowie zauważają jednak, analizując jego lektury i prezentowane poglądy, iż jako człowiek formalnie słabo wyedukowany w danej dziedzinie, zamiast nabywać nową wiedzę, częściej wyszukiwał czegoś, co zgadzało się z jego wcześniejszym intuicyjnym poglądem i nie stało w sprzeczności z przesądem czy przekonaniem na dany temat. Podobnie niestety postępuje większość z nas. Szukamy wśród wirtualnych autorytetów potwierdzenia dla naszych przekonań. Najlepiej w wersji korzystniejszej i bardziej optymistycznej, biorąc pod uwagę kontekst i naszą osobistą sytuację życiową.

Współczesny system edukacji i wymagania zawodowe nie wymuszają na nas krytycznego myślenia. To, że mamy już dosyć wysoki odsetek osób z wyższym wykształceniem przyniosło uboczny skutek w postaci tego, iż ludzie stali się co najwyżej jeszcze bardziej pyszni i ufni we własne możliwości. Niegdysiejszy ideał intelektualisty, eksperta w danej dziedzinie, a jednocześnie osoby o szerokich horyzontach umysłowych, ogromnej bibliotece i jeszcze większej erudycji, zastąpił ideał społeczny wykształciucha o bardzo wąskiej specjalizacji (bo takie są wymagania współczesnego rynku pracy) z wyszukiwarką w telefonie zamiast wiedzy. Czytamy wybiórczo, w brykach i koniecznie rzeczy podane w przystępny dla społeczeństwa obrazkowego sposób. Tak wąska specjalizacja od najmłodszych lat edukacji ogranicza nasze spojrzenie i czyni nas bezbronnymi wobec informacyjnego smogu.

Nie chroni nas również przed naiwną wiarą w podsuwanych nam przez mainstream ekspertów. Na przykład socjolog czy politolog o dość wąskiej specjalizacji naukowo-badawczej może uchodzić za eksperta, formułującego *ex cathedra* poglądy na dowolny temat. Oczywiście, nie dostrzegamy też, iż nie są one wolne od wartościowania. To kolejny paradoks naszych czasów. Wszystko rzekomo podlega naukowej weryfikacji. Pozytywistyczna wiara w naukę, postęp i potrzeba wytłumaczenia wszystkiego powraca. A w takiej sytuacji łatwiej o manipulacje. Często słyszymy, iż lekarze, ekonomiści czy prawnicy dowiedli czy uważają coś za prawdę, na dowód czego w telewizji pojawia się jeden z setek tysięcy z nich.

Można się pocieszać, że są społeczeństwa bardziej skretyniałe a rządzący jeszcze bardziej chaotycznie zarządzający kryzysem. Prezydent Łukaszenka najpierw administracyjną decyzją odwołał koronawirusa, po czym sam się nim zaraził. Wirus zakazany był w Kazachstanie. W Rosji oficjalne statystyki w sposób dość ewidentny pomijały zgony spowodowane chorobą. Mechanizm wyparcia towarzyszył Brytyjczykom, bodaj aż do ciężkiej choroby ich premiera i obaw o zdrowie królowej-matki. W dotkniętej bardzo mocno epidemią Brazylii, prezydent Jair Bolsonaro zaprzeczał epidemii, tylko ona jakoś sobie nic z tego nie robiła i w końcu sam zachorował. W krajach muzułmańskich noszenie maseczek uważane jest za niemęskie, więc noszą je, jak do tej pory w kulturze hidżabów i czadorów, głównie kobiety. W Niemczech i Francji popularnością cieszyły się korona-party, nawet wtedy, gdy notowano tam liczne przypadki śmiertelne. W Afryce dosyć częstym zabobonem była wiara w to, iż koronawirus to choroba białych.

Koronasceptycy to produkt epoki, jak wiele innych. Ukazują niestety smutną prawdę o naszej rzeczywistości. Sam kryzys koronawirusa nie stworzył niczego nowego. Po prostu, krańcowa sytuacja obnażyła kryzys społeczny w jakim tkwimy jako zachodnia kultura. Trudno koronasceptyków winić i obrażać, choć pewnie należy karać i ganić. Jednak lata neoliberalnego, indywidualistycznego chowu, określony model edukacji, dobór elit i elektroniczne media zrobiły swoje. Pewnych trendów nie odwróci łatwo nawet kilka lat pandemii.

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/zrozumiec-koronasceptyka/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć